

## Marta Kwaśnicka: Inteligencki sen o Ukrainie

Czasami może wydawać się, że, wobec zapętlenia spraw wschodnich, menippea to ostatnia deska ratunku dla pisarzy, którzy chcieliby opisać wzajemne stosunki Polaków i Ukraińców



Czasami może wydawać się, że, wobec zapętlenia spraw wschodnich, menippea to ostatnia deska ratunku dla pisarzy, którzy chcieliby opisać wzajemne stosunki Polaków i Ukraińców - przeczytaj recenzję książki *Nazywam się Majdan* prof. Wojciecha Kudyby, która ukazała się na blogu autorki

Najnowsza powieść Wojciecha Kudyby, poety, literaturoznawcy, profesora UKSW, ukazała się w nieprzypadkowym momencie. Dopiero co opinię publiczną zelektryzowały i przeraziły wydarzenia na kijowskim Majdanie, potem na terytorium naszego sąsiada wybuchła

wojna. Tematyka ukraińska zdominowała na pewien czas polskie gazety, pojawiły się książki publicystyczne i reportaże z Kijowa. Ukazały się także utwory literackie, które starają się przetwarzać i oswajać sprawy związane z tym, co dzieje się na wschodzie – i do takich bez wątpienia należy „Nazywam się Majdan”.

Narratorem książki jest ukraiński doktorant kulturoznawstwa, mamy więc w niej podwójność spojrzenia: z jednej strony ma to być opowieść intelektualisty, z drugiej – produkt wrażliwości ukraińskiej, a nawet kresowej. Wszystko dzieje się w czasach współczesnych. W „Nazywam się Majdan” znajdziemy echa Pomarańczowej Rewolucji, Euromajdanu i jeszcze kilku innych wydarzeń. Prawdziwe wydarzenia historyczne mieszają się jednak z fantastycznymi, a w akcji biorą udział nie tylko postaci z krwi i kości.

Wojciech Kudyba napisał bowiem menippeę. To forma, która daje autorowi niemal zupełnie wolną rękę. Michał Bachtin zauważał, że gatunek ten cechuje „wyjątkowa swoboda fabularnej i filozoficznej fikcji”. To rodzaj fantastyki eksperymentalnej, czulej na bieżące wydarzenia w sposób niemal publicystyczny, nieskrępowanej jednak regułami prawdopodobieństwa. Przy pomocy elementów baśniowych, komicznych, turpistycznych i tym podobnych menippea próbuje jednak sięgać stanu faktycznego. Ze zderzenia motywów powinna pojawić się, niemal jak nowa cząstka w akceleratorze, jakaś ważka prawda o egzystencji.

## **Wschodnie zapętlenie**

Czasami może wydawać się, że, wobec zapętlenia spraw wschodnich, menippea to ostatnia deska ratunku dla pisarzy, którzy chcieliby opisać wzajemne stosunki Polaków i Ukraińców. Bo przecież ponad tymi prywatnymi, ludzkimi, często serdecznymi, są jeszcze relacje międzypaństwowe i międzynarodowe, nie mniej skomplikowane – i te nigdy nie są, bo nie mogą być, przedłużeniem osobistych sentymentów. Nic dziwnego zatem, że powieść Wojciecha Kudyby to nie pierwszy utwór na temat spraw kresowych, który nawiązuje do satyry menippejskiej.

Podczas lektury „Nazywam się Majdan” co chwila przypominał mi się poemat Tomasza Różyckiego „Dwanaście stacji”, stanowiący jak gdyby lustrzane odbicie książki Kudyby. Poemat Różyckiego, pisany przed ponad dekadą, był groteskową opowieścią o przesiedleńcach z Kresów, którzy marzą o powrocie w rodzinne strony. Rozpoczynał się opisem przedziwnej vegetacji dawnych Kresowiaków rzuconych po wojnie do Opola i w okolice tego miasta – opisem zabawnym, ale prawdziwym, co jest jasne dla każdego, kto miał styczność z tymi niezwykle staruszkami lepiącymi pierogi z ziemniakami czy kaszą gryczaną, wspominającymi przy śniadaniu zbrodnie Armii Czerwonej i rzezie UPA i pozostającymi na bakier ze zdobyczami nowoczesności. Ich świat stopniowo rozpada się, tak jak rozpadają się nieremontowane gospodarstwa, w których zamieszkują – życie dawnych Kresowian to bowiem raczej jakieś trwanie pomimo zmieniającej się rzeczywistości, podszyte nadzieją na powrót do miejsc, w których, jak im się zdaje, żyli kiedyś naprawdę. Źródłem surrealizmu i groteski w wykonaniu Różyckiego było więc samo życie, nie trzeba go było nawet specjalnie przetwarzać. Potem jednak poemat coraz bardziej odrywał się od rzeczywistości: najpierw zmieniała się topografia Opola, potem narrator zabierał nas na prowincję – bo Wnuk, główny bohater,

skrzykiwał po wioskach krewnych i znajomych, by dawni Kresowianie mogli wyruszyć pociągiem na Wschód. Wszystko pozostawało oniryczne, nie mogło się dokonać, grzęzło. Różycki opisał zarówno bujność przyrody, jak i siermiężność współczesnego postkomunistycznego miasta; przypisywana pokoleniu babć naiwność zderzana była z optyką ich lepiej wykształconych wnuków, a akcja mieszała to, co realne, z tym, co fantastyczne. Tęsknoty, plany na przyszłość i rzeczywista niemożność spletały się ze sobą w prawdziwie tragicomiczną całość, w węzeł skomplikowany jak śląskie torowiska, których nie da się przebyć szczęśliwie. Mówiąc krótko: Różycki w „Dwunastu stacjach” zrealizował z grubsza wszystko to, co w swojej menippeji próbuje zawrzeć Wojciech Kudyba.

No ale właśnie – Różycki czerpał z własnego doświadczenia, co dodało jego opowieści blasku. Poeta pochodzi z Opola, zna Kresowiaków, od lat śledzi ich oderwanie od bieżącej rzeczywistości, wie, skąd bierze się ta zawieszona egzystencja, coś pomiędzy czuwaniem, oczekiwaniem na powrót a rezygnacją. Kiedy zaś Wojciech Kudyba pisze o Ukrainie, kiedy próbuje napisać monolog Ukraińca, to tworzy konstrukt. Nie wychował się za Bugiem, on się tylko domyśla, jak to jest być stamtąd – i to jest widoczne od pierwszej strony „Nazywam się Majdan”.

## **Polski orientalizm**

Poziomów nieautentyczności w książce jest kilka. Czasami jest zamierzona. Jest tak w przypadku języka – archaizowanego, zawdzięczającego sporo Sienkiewiczowi (choć nie tylko), próbującego lokować całość gdzieś w postsarmackim uniwersum, sprawiającego wrażenie, że mamy do czynienia z epopcją. To mowa odmienna

zarówno od języka absolwentów dawnych wschodnich gimnazjów czy przesiedleńców spod Lwowa, jak i od dzisiejszego ukraińskiego. Nieautentyczny jest także narrator – i tutaj przyczyny wydają się bardziej złożone. Petro Majdan to współczesny Ukrainiec, mówiący ową polszczyzną Sienkiewicza, której nauczyć miała go babunia spod Kijowa, Polka. Wiemy, że Petro ma wśród przodków także przedstawicieli innych narodowości, w tym Rosjan – a zatem jest absolutnym mieszzańcem, który dopiero wykuwa własną tożsamość i który źródła Ukrainy upatruje raczej na Rusi Kijowskiej, w poezji Szewczenki i heroizmie Kliczki niż w ideach Bandery. Nazwisko bohatera podkreśla owo zmieszanie tożsamości, bo słowo „majdan” – Kudyba daje to do zrozumienia wiele razy – odnosi się nie tylko do placu spotkań politycznych i dysput, ale i do miejsca zabaw; oznacza tygiel, gdzie mieszają się tradycje, formy i historie.

Wiadomo, że Petro czuje się Europejczykiem. Kształcił się na Zachodzie (w Niemczech, choć trafia i do Warszawy), że jego rodzina zarobkuje w krajach Unii Europejskiej lub dorabia, szmuglując do Polski to i owo. Sam Petro potrafi sypnąć terminami z dziedziny literaturoznawstwa, zaskoczyć znajomością Dostojewskiego i Tołstoja. Pozostaje przy tym prostoduszny i naiwny jak Longinus Podbipięta; nie potrafi ani analizować rzeczywistości, ani jej wyjaśniać innym. Jest dziecinny i pełen przesądów, duchowo nieukształtowany. Japończyka Yokotę, który przyjechał na Ukrainę, szybciej poskromi nieuczona babcia Petra. Z książki dowiemy się też, że przyroda w kraju nad Dnieprem jest wyjątkowo bujna, a miasta – zaniedbane; że robienie biznesu na Ukrainie to sprawa zmienna i ryzykowna jak gra w „Monopol” z samym diabłem. W tle rozgrywa się historia najnowsza, która jednak, podana przez Majdana, traci swój groźny i skomplikowany charakter. Juszczenko kłóci się z Tymoszenko (są to „burzliwe kłótnie w rodzinie”, co przecież w ogóle nie wyjaśnia pęknięć i napięć w obozie powstałym

po Pomarańczowej Rewolucji). Czasami ktoś z krewnych Petra zostanie wytarmoszony w jakiejś ruchawce, a losy Euromajdanu streszczone zostają za pomocą baśni. Są to jednak raczej sygnały, które pomagają nam odnaleźć się w powieściowej czasoprzestrzeni. Na Ukrainie po prostu jest niestabilnie.

Nie rozstrzygam tutaj, które z powyższych intuicji są prawdziwe, a które fałszywe – ważny jest raczej ich zestaw. Myślę, że nawet najwięksi miłośnicy Ukrainy zgodzą się, że „Nazywam się Majdan” to, przy całym swoim wykrzywieniu i zamierzonej baśniowości, raczej opowieść o tym, jakie wyobrażenie na temat uśrednionego Ukraińca ma polski inteligent, niż diagnoza dotycząca tego, co rzeczywiście dzieje się za Sanem. To tyleż menippejskie pomieszanie prawdy i fantastyki, ile miks faktów, stereotypów i postulatów; to sen o dobrodusznej, niewyklutej ciągle Ukrainie, przedłużeniu dawnych Kresów, stworzony na potrzeby polskich serc – i ten obraz z prawdziwą Ukrainą nie ma chyba zbyt wiele wspólnego, bo, w przeciwieństwie do państwa ze stolicą w Kijowie, od wielu lat się nie zmienia. To polski mit na temat wschodniego sąsiada, w dodatku nieco protekcyjny, w którym wnikliwy czytelnik Edwarda Saida dopatrzyłby się pewnie śladów orientalizmu w wersji warszawskiej.

Książka broniłaby się lepiej, gdyby naiwność i bohatera, i autorskiej optyki zostały na końcu zanegowane; gdyby okazywało się, że ani przeciętny Ukrainiec nie jest tak prostoduszny i niewykluty, ani inteligencko-polska wizja Ukrainy taka prosta. Gdyby Wojciech Kudyba pokusił się o rozłożenie rąk i opowieść zostawiała nas z niepokojem – że, owszem, Ukraina to jeden z naszych kluczowych sąsiadów, że mamy wspólną, trudną historię, a Kijów znów znalazł się na zakręcie dziejów, ale tak naprawdę kraj ten i jego mieszkańcy pozostają nam nieznani i

że, pielęgnując nawyki myślenia o nich, nie posuwamy rozmowy o sprawach wschodnich ani o krok do przodu i nie jesteśmy w stanie uprawiać dobrej polityki. (Nie rozstrzygam tutaj, jak taka polityka miałyby wyglądać – i nie sądzę, że literatura powinna to robić. Twierdzą jedynie, że polityka fundowana na pobieżnych opiniach, marzeniach i protekcyjnej pobłażliwości po prostu nie może być dobra.)

Książka Wojciecha Kudyby jest zatem zgrabnie napisaną i dowcipną zabawką formalną, udaną zonglerką motywami, jest też wyrazem solidarności z dzisiejszą Ukrainą – wydaje się jednak, że od zrozumienia tego, co naprawdę dzieje się na Wschodzie, zarówno w polityce, jak i głowach naszych sąsiadów, raczej nas oddala.

CDN.

PS. Profesorowi Wojciechowi Kudybie zawdzięczam bardzo wiele. To jedna z tych osób, które wspierały mnie od samego początku, to jest od 2003 roku, kiedy jako bardzo młoda autorka debiutowałam w „Toposie”. Z jego olbrzymią życzliwością spotkał się także mój debiut książkowy sprzed roku. Chciałam mu za to jeszcze raz z całego serca podziękować. Powyższa recenzja pisana była ze świadomością, że spieram się z kimś, kogo bardzo cenię i wobec kogo mam dług wdzięczności.

*Marta Kwaśnicka*

Tekst ukazał się na blogu autorki

**Wojciech Kudyba, *Nazywam się Majdan*, Warszawa 2015.**